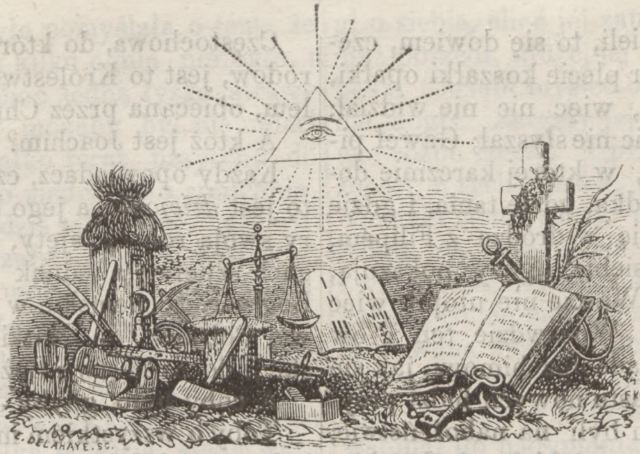
№ 40.

WARSZAWA

5 Października

1862.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr 1527.

„*Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.*“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Co to są dzieje powszechne?

—

Każdy rad słucha opowiadań o ojcach swoich. O pomyślnościach, i o klęskach, jakiemi Pan Bóg nas darzył lub dotykał, o mądrych, i niedbałych królach, którzy u nas panowali, o wojnach, które z sąsiadami toczyliśmy: słowem o wszystkiem, co się u nas *działo*, co od początku narodu polskiego, aż do dni naszych *dzieje polskie* opowiadają. Co się działo we Francyj, opowiadają *dzieje francuzkie*; co w Węgrzech, *dzieje węgierskie*; a o tém, co się działo *po wszech* narodach od stworzenia człowieka, aż do dni naszych *dzieje powszechne* uczą.

Więc dzieje powszechne nietylko opowiadają o Polakach, o Francuzach, i o Węgrach; nietylko o Anglikach, Niemcach, Włochach, i innych narodach, ktore dzisiaj na ziemi żyją; ale nawet o Rzymianach, Assyryjczykach, Babilończykach, i innych ludach, które już zupełnie wyginęły. Nie wynika stąd, żeby opowiedziawszy komu dzieje Polaków, Węgrów, Anglików, Assyryjczyków: słowem wszystkich żywych i umarłych ludów, żebyśmy go już dziejów powszechnych nauczyli. Będzie to zbiór dziejów wszystkich narodów, ale nie dzieje powszechne.

Co są dzieje powszechne, postarajmy się z podobieństwa wyrozumieć.

Kompanja z kilkudziesięciu osób złożona z okolic jeziora Gopła, idzie przez miasta Koło, Uniejów, Szadek, i Widawę, ze śpiewami, i chorągwiami, żeby uderzyć czołem przed Królową Polską, przed Matką Boską Częstochowską.

Idzie Piotr, Paweł, Gaweł, Jakub, Filip, Kuba, Maciek, i wielu drugich. Idą mieszczanie, i wieśniacy, rolnicy, i ludzie od rzemiosła, są tam ludzie świętobliwi, ale i nicponie się znajdą, jak to zwyczajnie w tłumie.

Joachim nie szedł z niemi, ale spotyka ich w drodze, i ciekawość go wzięła: skąd idą? przez jakie miasto przechodzili? czy ich jaka bieda nie spotkała? słowem, jak im się w drodze *działo*; czyli chce mu się poznać *dzieje* częstochowskiej kompanij. I myśli sobie tak: poproszę naprzód Piotra, potém Pawła, potém Gawła, Jakuba i Filipa, aby mi *dzieje* swojej

pielgrzymki opowiedzieli, to się dowiem, czego pragnę. Aż tu Piotr plecie koszałki opałki, bo biedaczysko ślepy, więc nic nie widział; Paweł głuchy, więc nic nie słyszał; Gaweł pijak, więc rozpowiada, w której karczmie dobra, a w której zła wódka, gdzie tania, i gdzie droga; Jakób pobił się w drodze z Filipem, więc się skarżą na siebie, i guzy pokazują, a Kuba o mało się w Warcie nie utopił, więc o tym ciągle prawi. Wprawdzie ten i ów człek stateczny opowiada Joachimowi, jak się w mieście Kole kilkunastu nowych ludzi przyłączyło, jako tu, i tam byli na nabożeństwie; jednak wysłuchawszy wszystkich, wie Joachim co dolega Filipowi, co boli Jakóba, co Gawła zajmnje, i co Pawłowi przeszkadza; czyli zna dzieje wędrówki Piotra, Pawła, Gawła i wszystkich towarzyszy, ale to jeszcze nie są dzieje częstochowskiej kompanij.

Aż tu brat prosi Joachima: „Bracie kochany, widziałem, że tyleś czasu na rozmowach z temi ludźmi zmitrężył, opowiedz że mi, jako się tej kompanij w drodze *działo*."

Joachim myśli: „Pocóż mam mu wszystkie próżniaki powtarzać, com od tych ludzi słyszał, przecież mnie nie o to pyta, ale o całą kompaniję." Więc opowiadając, zamilczał o ślepocie Piotra, o głuchocie Pawła, o guzach, o drogości wódki, i o tém jak się Kuba topił, a tylko to opowiadał, co się wszystkich tyczyło, a jeżeli już o ludziach mówił, i imiona ich wspominał, to tylko tych, co szli z chorągwiami, co zaczynali pieśni, co mieli posłuch u towarzystwa, albo o takim nicponiu, przez którego się całej kompanij dostawało. Gdyby do bójki Filipa i Jakóba wszyscy się byli wmięszali, toby opowiedział o takowem zgorszeniu, ale że się dwóch błaznów w kącie wyczubiło, to nie było czém gęby psuć. Gdyby dla pijanego Gawła musiała się cała kompanja zatrzymać, toby nawet o nim nie zamilczał.

Otóż Piotr, Paweł, Gaweł, i drudzy towarzysze kompanij, są to narody, które idą pielgrzymką przez długie wieki. Opowiadania Piotra, Pawła, Gawła, i drugich, są to dzieje pojedynczych ludów. A zbiór tych wszystkich dziejów, nie są to jeszcze dzieje powszechne. a dopiero jest niemi opowiadanie Joachima.

A cóż znaczy Częstochowa w tém podobieństwie?

Częstochowa, do której dąży kompanja narodów, jest to Królestwo Boże, nowa Jeruzalem, obiecana przez Chrystusa?

A któż jest Joachim?

Każdy opowiadacz, czyli *opisywacz dziejów*, to jest *dziejopis*, a jego bratem jest lud, który swoją robotą zajęty, niema czasu po księgach szperać, a jednak radby wiedzieć, jako Bóg narody ziemskie w kompanij do Królowej Polskiej, do Matki Boskiej Częstochowskiej, do Królestwa Bożego prowadzi.

A coby było, gdyby Joachim był pijak?

Toby o wszystkiém innem zapomniał, a tylkoby opowiedział bratu to, co od drugiego pijaka od Gawła usłyszał.

A gdyby był plotkarz?

Toby o guzach Jakóba i Filipa, i o wszystkich innych bójkach, i zwadach póty prawił, ażby o Częstochowie dokąd szła kompanja zapomniał.

A gdyby był bezbożnik?

To chociażby po sto razy Piotra, Pawła, Gawła, i ich towarzyszy rozpytywał, czyli chociażby był najuczeńszy, takąby go Pan Bóg dotknął ślepotą, że nie zrozumiałby nigdy, iż kompanja do Częstochowy, do Królestwa Bożego dąży. Więc żeby być prawdziwym Joachimem, to jest dobrym dziejopisem, nietylko człowiekiem w naukach biegłym, ale i gruntownym Chrześcijaninem być potrzeba, bo bez łaski Boskiej, i bez pomocy Ducha świętego, nikt dziejów powszechnych nie wytłumaczy.

O Antonim Bylcu

POWIEŚĆ.

II.

(Dalszy ciąg)

Niedługo potém umilkł płacz dziecka, umilkł na wieki! Sąsiadka z drugiej izby, przechodząc koło drzwi uchylonych, dojrzała Zuzię stojącą z załamanemi rękami nad Jasiem, już nieżywym! O gdyby każda z tych kobiet, co obok Zuzi mieszkały, wcześniej się była ulitowała nad nieszczęśliwą, gdyby każda z tych matek szczęśliwych, co wieczorem, przy jasnym ogniu rozdzielają między dzieci

ciepłe pożywienie, była pomyślała o tém, że za ścianą, już od dni kilku ognia nie było, i choć jeden wiórek, choć jedną łyżkę strawy przyniosła! Kto wie? możeby był nie umarł Jasio! Możeby to ciałko teraz przyschłe do kości i wystygłe, było zjędrniało i spulchniało! Możeby te oczki dziś zamknięte, były weselej po świecie spojrzały! Możeby te sine teraz usteczka, były zarumieniły się, i uśmiechały do ludzi. Możeby te zimne teraz rączki nauczyły się były bratniego uścisku, a z czasem wzmocniły się do pracy, i zawdzięczyły dobrym ludziom. I matczyne serce nie byłoby pogwałcone taką wielką boleścią, kiedy widzi umierające dziecie swoje!.. Ale my najczęściej nie myślimy o tém, co nie nas boli, i nie nam zagraża. Nie myślały też i sąsiadki Zuzi, pomijały obojętnie drzwi jej nędznej izdebki, aż dopiero teraz (dziwna to ta natura ludzka) aż dopiero teraz, zwabiła je śmierć! Zeszły się one wszystkie, otoczyły nieżywe dziecko, i na w pół żywą matkę, i biadać zaczęły nad biednym robaczkiem, nad kruszynką, a dopytywać się, czy długo chorował? co mu było? znalazły się takie, co wysunąwszy się po cichu, wracały; niosąc, to trzewiczki, to koszulkę, to i sukienkę na ubranie do trumienki. Jedna rozczesała włoski dziecięcia, ubrała je w te dary, ułożyła na białem posłaniu. Ceruliczka z przeciwka przyniosła dwa robione bukiety w papierowych doniczkach, postawiono je w głowach. Jak to matka zobaczyła, dopiero zapłakać mogła, i ulżyło się trochę jej sercu. Wieczorem jeszcze odwiedziły ją, to jedna, to druga z kobiet, przyniosły posiłek, namówiły do jadła. Póki stało ciałko dziecięcia w domu, nie brakło na odwiedzających, i pocieszających. Znalazło się też i kilkoro takich, co poszli na cmentarz za trumienką.

Z pogrzebu dopiero jak to zwykle, mężczyzni zatrzymali się tu i owdzie, nie bez tego, żeby jeden drugiego nie poczęstował; kobiety śpieszyły się do pozostawianych dzieci, i do izdebki powróciła Zuzia sama, samiutka jedna! A izdebka była jeszcze puściejsza jak przedtem. Reszta prawie pościeli, obrazek ze ściany, poszły na trumienkę. Ceruliczka zabrała pożyczane kwiaty, kolebka próżna została. Zuzia położyła się na gołem prawie łóżku, ale usnąć nie mogła. Tak była zmęczona i słaba, że nie miała siły czuć, ani żalu za Jasiem, ani trwogi o siebie, choć jéj zapowiedziano, że skoro mąż poszedł, dłużej jej trzymać w izdebce nie będą. Chciała myśleć o tém, co będzie dalej, nie mogła. Zaczęły jej się za to snuć po głowie różne rzeczy. I przedstawiały jej się różności, z tych czasów, co już przeszły. Więc widziała siebie samą, małą dziewczynkę siedzącą na łące, albo bawiącą się w piasku z wiejskiemi dziećmi. Widziała chaty wiejskie, i trakt, co się ciągnął za niemi, i nad traktem murowaną kuźnię, i ojca swego kującego przy ogniu rozpalone żelazo, i matkę w świątecznym czépku z wstążkami, i brata, jak się wspinał do nadymania miecha. O dawno to było, temu lat ze dwadzieścia. Matka umarła, i ojciec już nie żył, brat niewiadomo gdzie się obraca! Daleko to było gdzieś o ile pamięta za Piotrkowem. A może tam brat żyje jeszcze, może on tam kowalem w tej samej kuźni? Możeby ją tam swoi poznali, możeby ją kto przygarnął, a przynajmniej to dziecię, co się ma urodzić sierotą! I potém jej się znowu przypominać zaczęło, jak ją sporą dziewczynką wzięto do dworu po śmierci matki. Zaczął jej się wystawiać ogród w tym dworze, i w ogrodzie między drzewami i kwiatami, jej kochana panienka, panna Helena w białej sukni, i w białych różach. I potém znów wspomniało jej się, jak była z państwem w Częstochowie, i stanęła jej przed oczami kaplica, i ściany jej aksamitem złociste, i świece jarzące, i obraz cudowny, i zabrzmiała niby muzyka prześliczna. Tak jej się przy tej muzyce zrobiło lekko i przyjemnie, i cicho jakoś, że usnęła prawie spokojna i wesoła.

W nocy śniło jej się, że panna Helena w Częstochowie ślub brała, a ona klęczący modliła się przed Matką Boską, i Matka Boska przemawiała do niej z obrazu: „Nie patrz na mnie tak żałośnie, ja się będę opiekować twoją córeczką.“ A panna Helena w wianku zielonym i w welonie, przyszła do niej, popatrzała tak jakoś niby przez łzy, i powiedziała: „Nie płacz Zuziu! twoja córeczka będzie szczęśliwa, choć na moją pamiątkę nazwiesz ją Helenką.“ Dziwna rzecz! Te przypomnienia i ten sen, tak jakoś orzeźwiły i wzmocniły Zuzię, że wstała jakby inną zupełnie kobietą. Pewną tego była, że to dziecię, co przyjdzie na świat będzie córeczką, i postanowiła sobie nazwać ją Helenką, i takie jakieś zaufanie ją

ogarnęło, że przeżyje ten czas ciężki, że się dziecko wychowa, i lepszą zazna dolę. Kilka tylko groszy zostało jej od pogrzebu Jasia, wzięła je, i chciała kupić co na posiłek, schodząc na dół, zatrzymać się musiała, bo całą szerokość drzwi od sieni, zajęła swoją osobą ceruliczka.

— Skaranie Boskie z temi ludźmi! wołała ona, ująwszy się pod boki. Cóż to? Czy darmo służysz, żeby ci się prosić trzeba pijaku obrzydły. Nie płacę ci hę? Gadaj? czemu jeszcze nie ma ani drzewa, ani wody do prania? Słyszysz? będziesz ty mi nosił wodę, czy nie będziesz?

— Nie będę, odpowiedział stróż, biorąc za miotłę. Szukajcie sobie kogo innego za takie pieniądze.

— A to dobrze! dobrze! myślisz, że nie znajdę? Jaki mi pan! Patrzcie go! Nie potrzebuję ja twojej łaski! Słyszysz? Nie potrzebuję?

Stróż słyszał, czy nie słyszał, machnął ręką, wcisnął czapkę, i poszedł zamiatać od ulicy. Jak już znikł z oczu, ceruliczka załamała ręce.

— Co ja tu teraz nieszczęśliwa pocznę. Tu pranie, a tu ja ani wody konewki, ani szczapy drzewa na ogień. A bodajeś...

Zuzia przerwała przekleństwo:

— Proszę pani, jabym mogła nosić drzewo i wodę.

— Tak, ja się na to spuszczę, a ty się potém rozchorujesz, położysz, Bóg cię tam wie, a może i nie wstaniesz, będzie znów kłopot!

— Ja też proszę pani, tylkobym się na miesiąc ugodziła.

— Ha! niechże i tak będzie. To dostaniesz na miesiąc trzy złote. No! a jakbyś tam znalazła, czem pożywić się w kuchni, to i tego bronić nie będę.

Biedna Zuzia przystać musiała, choć chora i bezsilna z radością prawie ciężar drzewa przyjęła na plecy, bo ją coś na sercu krzepiło. Ceruliczka udobruchawszy się, kazała jej przyjść na obiad, obszedłszy się bez śniadania i wieczerzy, schowała napowrót dziesiątkę. Przyniosła też sobie trochę wiórów, roztliła je na kominie, przy tym słabym płomyku, przeglądać zaczęła pęczek gałganów w rogu łóżka schowanych. Znalazła się tam jakaś resztka muślinowego czepka, z kawałkiem odartego tuliku. „Z tego będzie czapeczka dla Helenki,“ pomyślała sobie Zuzia, i odłożyła na bok. Wyciągnęła dalej kawałek krajki, co miała służyć za powijaczek, trudno było co wybrać, choćby na jedną pieluszkę, i właśnie przepatrywała jakąś szmatkę dziur pełną, kiedy drzwi skrzypnęły, i ukazał się właściciel kamienicy.

— No jakże? mąż nie wrócił?

— Nie wrócił, proszę pana.

— I jakże będzie dalej?

— Albo ja już wiem nieszczęśliwa!

— A to wiesz, że pojutrze już będzie pierwszy, i że ta *stancya* od pierwszego najęta? A to wiesz, żeś mi jeszcze 5 złp. do kwartału winna, hę? może i o tém nie wiesz? Tylko nie zaczynaj szlochać, bo ja babskich szlochów znieść nie mogę. Wynieś mi się jutro bez skwierku, nie czekaj, żebym drugi raz do ciebie przychodził, a już dług daruję, przecież i człowiek ma serce... „jużci nie ma z czego, to i nie zapłaci,“ mruczał pod nosem litościwy właściciel kamienicy, i kontent ze swego serca, ze swego rozumu, i ze swego szlafroka, poszedł na kolacyję.

Zuzia przeglądała dalej gałganki, odpruła tulik, wyprostowała go na palcach, i cieszyła się, że będzie taka ładna dla dziecka czapeczka. Na wiosnę, myślała, pójdę z dzieckiem za Piotrków, może znajdę swoich, może odszukam brata, a jak nie znajdę, to zawsze o zarobek łatwiej, i dziecko mi się zdrowiej wychowa...

Na wiosnę! Ależ teraz dopiero miał się zacząć Grudzień! Nim Maj zielony przyjdzie, co tu jeszcze miesięcy! Gdzieś tam daleko, zazielenią się pola, wzbije się skowronek pod niebiosy, kiedyś... rozweseli się ziemia od ciepłych promieni słońca, i do niej uśmiechnie się może zdrowe i ładne dziecie... ale teraz... ziemia skrzepła od mrozu, wiatr zimny dech zapiera, wilgoć śnieżna na wskróś przejmuje, ona niema kąta, niema dachu, niema choćby ścian gołych, gdzieby spocząć, a to dziecie dopiero się ma narodzić w boleści, i gdzie tymczasem narodzoną złoży? Ha! i Matka Najświętsza nie wiedziała gdzie złoży dzieciątko swoje, Zbawiciela świata? Panna Helena śliczne rzeczy o tem czytała kiedyś z książki. I na cudownym obrazie w Częstochowie Najświętsza Panna piastuje dzieciątko, co w stajni się urodziło. I dziwna rzecz, Zuzia kładąc się ostatni raz w nędznej izdebce, którą jutro

opuścić miała, spokojna była jak nigdy przedtem. Wstała tak rzeźka i ufna, jak dnia poprzedniego, ceruliczka poczęstowała ją ciepłem śniadaniem, i wezwała do wieszania bielizny. W rogu jednego z gankow, co ciągnął się od podwórza na 3m piętrze, było kilka wysokich i spróchniałych schodów, nad niemi drzwi z dwóch desek spaczonych prowadziły na poddasze. Na te poddasze poszła Zuzia wieszać bieliznę. Przez dziury w dachu, przez rozpadliny w ścianach, przez szpary w drzwiach spaczonych, nawiane było pełno śniegu, na sznurach wisiało pełno wilgotnej bielizny, chętnie ją tu wieszano, bo wiatr z różnych stron dochodząc, prędko ją suszył. „Żeby mi tu pozwolili przynieść siennik, mówiła sobie Zuzia, tobym do wiosny tu przemieszkała.“ Powiedziała o tém ceruliczce.

— E! gdzież tam, zawołała, ruszając ramionami, tuby i pies nie wytrzymał, i zafrasowana bielizną, obróciła się, łając dziewczynę, że grubsze sztuki źle wyżęte.

Zuzi jednak ta myśl utkwiła w głowie.

Na podwórzu spotkała gospodarza.

— A co wynosisz się dzisiaj?

— Wyniosę siennik proszę pana, więcej nic nie mam, bo i łóżko sprzedać trzeba, ale ja tu właśnie chciałam wielmożnego pana prosić, mówiła nieśmiało, do nóg się kłaniając, żeby mi wielmożny pan pozwolił ten siennik wynieść na poddasze, tobym zimę przebyła.

— Czyś zwarjowała kobieto? zimę na poddaszu?

— A gdzież się podzieję, wielmożny panie?

— Ja ci tam nie bronię, bierz was djabli! odpowiedział litościwy gospodarz, i obrócił się, kończyć targ z traczem.

Tego jeszcze wieczora, wyniosła Zuzia siennik na poddasze, za łóżko sprzedane kupiła sobie ciepły kaftan. Przez dzień, posługiwała nie tylko u ceruliczki, ale prawie w całym domu. Pożywiano ją za to tu i owdzie, pozwalano ogrzać się przy ogniu, gdzie śmiała usiąść, tam wydobywała gałganki, i szyła czapeczkę, obrąbiała pieluszki, bo jej nieraz i szmatkę jaką podarowano. Na noc wracała na poddasze, kładła się na zmarzniętym sienniku, otulała kaftanem, i usypiała, myśląc o tem, jak na wiosnę pójdzie do swoich.

Jednej nocy już po Bożem Narodzeniu, przyszło na świat dzieciątko. Była to istotnie dziewczynka. Zapłakała, jak każde dziecię, co się na świat narodzi, i... nie zmarzła tej pierwszej nocy. Raniutko przybiegła szewcowa, co miała bieliznę na poddaszu. Zalała się łzami na widok dzieciątka, skąpała je, spowinęła, napoiła rumiankiem. Drugie kobiety przyniosły to poduszkę, to pierzynkę starą, ceruliczka przez tydzień przysyłała rosołu dla matki, na jej prośbę dziecko do chrztu trzymała, i darowała całe ubranie. Po paru tygodniach wstała Zuzia, posługiwała napowrót uszczęśliwiona, kiedy jej gdzie w cieple dziecko zostawić pozwolono, nocą otulała je czem mogła, i powtarzała każdemu: „Byle zima przeszła, na wiosnę pójdę z dzieckiem do swoich.“

— A o czem pójdziesz? mówiła niejedna ruszając ramionami.

— Alboż ja wydaję wszystko, co zarabiam, odpowiedała Zuzia.

Jakoż miała oszczędzonych ze 12 złotych.

(Dokończenie nastąpi.)

Rozmowy miejskie.

IV.

(Dalszy ciąg. Patrz numera 37 i 38 Czytelni Niedzielnej.)

Stósownie do danej obietnicy znajomi nasi przyjaciele zeszli się znowu z sobą na dalszą rozmowę o znaczeniu pieniędzy, i co to jest prawdziwe bogactwo. Po dwu tygodniowej pracy, dwu tygodniowem myśleniu, i zastanawianiu się, nad rzeczami i okolicznościami mającymi z nimi bezpośredni stosunek, nasi przyjaciele czuli nawet potrzebę wygadania się, wypowiedzenia swoich spostrzeżeń i myśli! To też czas mile im schodził na tej zabawie. Nie potrzebowali szukać rozrywek w hałaśliwych ogródkach, ani szukać pociechy w bawarskiem piwie, tak szkodliwem i zawracającem głowę. Przestawali na zwyczajnem dobrem piwku, bo to myśli nie obałamuci, zdrowiu nie szkodzi, od bawarskiego tańsze, choć droższe znowu, a bez porównania gorsze od dawnego wybornego naszego piwa. Ale wszystko nawet najchwalebniejsza czynność, swój czas mieć powinna. Więc też z rana do kościoła; później obiad; około godziny trzeciej Jan odwiedzał Michała, około szóstej wracał do domu, bo przecież ma chwała Bogu żonę i dziatki,

więc jeżeli czas piękny, to przejść się wypada z całem rodzeństwem, czy to ku ogrodowi botanicznemu, czy na Pragę, czy ku Wolskim rogatkom, byle odetchnąć świeższem powietrzem. A jak deszcz pada, i zawierucha na dworze, to i na to jest rada, i w domu można z rodziną czas przepędzić przyjemnie. Znajdzie się i książka ciekawa, którą głośno, dla zabawy wszystkich czytać można, albo sąsiad odwiedzi, więc gawędka, a tymczasem żona przyrządzi herbatę, więc i uczciwie i pięknie, i pożytecznie czasu się używa. Michał był kawalerem, dla tego już nie tak łatwo szło mu życie. Nie miał rodziny, zdarzały się przeto chwile, że musiał poprzestawać na swojem własnem towarzystwie. Miał zatem więcej swobodnej myśli, więcej czasu i sposobności do rozmyślania i rozpamiętywania tego, co mądrego usłyszał lub przeczytał. Ale, ponieważ wierzył w Opatrzność Boską, a nie oglądał się na nikogo, ani na protekcyję, ani na jakieś tam wsparcie, tylko ufał we własną pracę, i własne siły, więc i jemu nie źle było na świecie.

Po przywitaniu, tak się Jan odezwał:

— Przeszłej Niedzieli, mówiłeś mi kochany Michale, że praca stanowi bogactwo, a mnie się ciągle zdaje, że pieniądze. Praca jest to robota jakaś, jakże więc robota może stanowić bogactwo? To mi się w głowie nie mieści.

— Tak jest jednakże mój Janie. Praca stanowi bogactwo, ale praca zaoszczędzona, praca nagromadzona. Przypuśćmy, że ty razem z czeladnikami zrobiłeś 1000 par butów, i że masz te 1000 par w swoim składzie. Przypuśćmy jeszcze, że każdą parę sprzedajesz po 20 złotych, więc wartość twoich butów wynosi 20,000 zł. Powiedzże mi teraz, czy mając 1000 par gotowych, byłbyś bogatym, czy nie?

— Zapewne, że gdybym miał 1000 par butów w moim składzie, to byłbym bogatym.

— Kiedy się na to zgadzasz, to posłuchajże dalej: parę butow dobry czeladnik szyje dwa dni, a zatem do uszycia 1000 par potrzeba użyć albo jednego czeladnika na całe 2000 dni, albo stu czeladników w ciągu 20 dni. Otóż każda para butów wyobraża pracę 2 dni, a 1000 par wyobraża pracę 2000 dni, którą masz w swoim składzie. Tak samo drzewo, co nad Wisłą w szychtach leży, wyobraża pracę użytą do wyrąbania, oskrobania, zwiezienia i ułożenia; sukno zrobione przedstawia pracę ostrzyżenia owiec, przędzenia wełny, tkania, folowania, i innych prac potrzebnych, dopóki nie będzie tak ułożone, jak je widzimy w sklepach. Cegła wypalona w cegielni przedstawia pracę, wydobycia gliny, wymięszania, wyciśnięcia w formach, wypalenia i ułożenia. Nie mówię tu nateraz nic jeszcze o wartości drzewa stojącego na pniu, o wartości gliny użytej na cegłę, i o wartości owcy, z której wełnę ostrzyżono, gdyż wartość tych rzeczy stanowi inny szereg pracy.

— A dla czegóż tak wszyscy starają się o pieniądze?

— Bo pieniądze przedstawiają pracę tak dobrze, jak każdy inny towar, a mają tę dogodność, że mało miejsca zajmują. Kiedy mówię pieniądze, to rozumiem monetę złotą, srebrną lub wreszcie miedzianą. Papierowy zaś pieniądz o tyle ma znaczenie, o ile go można wymieniać na złoty lub srebrny. Jeżeli za pieniądz papierowy nie można dostać ani złota, ani srebra, to pieniądz papierowy nie ma żadnej wartości. Jest tylko kawałek papieru i nic więcej. Jak mam tedy 3 zł. w kieszeni, to tak samo, jakbym miał pracę jednego człowieka, jak mam 6 zł., to mam pracę dwóch ludzi; a jak mam 300 zł., to mam pracę stu ludzi, którym jak zapłacę po 3 zł. dziennie, to będą dla mnie pracować sto dni, a z tej ich pracy mogę mieć wiele korzyści. Pieniądze o tyle są dobre, o ile można za nie dostać pracę. Gdyby za pieniądze nie można było dostać, czyli kupić pracy, to nie miałyby one wartości, i niktby się o nie starał. Zróbmy takie dwa przypuszczenia: W pewnym czasie, nikt nie chce robić zapasowych przedmiotów, a wszyscy chcą mieć tylko pieniądze. Ślusarze nie mają zamków i kłódek, sukiennicy nie mają sukna, rolnicy nie mają zboża, piekarze nie mają chleba, szewcy nie mają butów i trzewików, papiernie nie mają papieru, ale za to wszyscy mają pieniadze. Jakażby to byla bieda, pomimo obfitości pieniędzy. Papiernik chce chleba, i posyła do piekarza pieniądze, piekarz mu odpowiada, ja mam swoje pieniądze, twoich panie papierniku nie potrzebuję, a chleb mam tylko dla siebie, i tobie nie sprzedam: tak samo odpowiada szewc, ślu-

sarz, i t. d. Takie społeczeństwo byłoby bardzo biedne, bo jeśćby nawet nie miało co. Zróbmy drugie przypuszczenie, nikt w kraju nie ma pieniędzy, ale za to każdy ma w zapasie swój wyrób. Ślusarz ma zamki, sukiennik ma sukno, rolnik ma zboże, piekarz ma chleb, szewc ma buty. Papiernikowi potrzeba chleba, więc posyła swój papier, a żąda za to chleba. I z łatwością chleb dostaje, bo właśnie papier potrzebny piekarzowi, tak samo szewc dostanie sukna, i t. d., bo każdemu te rzeczy są potrzebne, więc choć nie ma pieniędzy, nikt jednakże, tem samem kraj cały nie uczułby biedy, bo wszyscy mają to, czego im potrzeba.

— Więc możnaby się obejść prawie bez pieniędzy, bo gdy mam skóry, dratwy, narzędzia potrzebne, i żywność dla mnie, i dla moich czeladników, to oni tak dobrze szyć będą, jakbym im codzień płacił gotówką, a jeszcze ta korzyść wyniknie, że jak skupię w swoim czasie skóry i żywność, to więcej zyskam, bo taniej nabędę potrzebne mi przedmiota i żywność.

— Tak panie Janie, i wtedy będziesz *kapitalistą*, gdyż posiadasz kapitał, to jest wszystko to, co ci jest potrzebnem do twego rzemiosła. Masz skóry i żywność dla twoich czeladników, więc możesz prowadzić swój szewcki zakład.

— Jakto kapitalistą, przecież ten tylko co ma pieniądze, to powiadają, że ma kapitał, a więc jest kapitalistą.

— Pieniądze dopóki są w skrzyni zamknięte, nic nie znaczą, bo nic *nie produkują*, bo żadnej korzyści i pożytku nikomu nie przynoszą, bo leżą martwe, jak kawał drewna na śmiecisko bez celu porzucony, lub człowiek próżniak i darmojad. Pieniądze jeżeli są srebrne lub złote, to przedstawiają tylko srebro lub złoto, a jeżeli to są papiery wyobrażające pieniądze, to przedstawiają tylko papier. Cóż z nich przyjdzie, czy tobie czy komu: ot, leżą sobie, i leża. A dopiero jak kupisz za nie skóry, dratwy, i inne rzeczy potrzebne do twego rzemiosła, jak kupisz mąki, kaszy i mięsa na wyżywienie siebie i czeladzi, wtedy dopiero pieniądze przemieniają się na kapitał, gdyż wtedy dopiero jesteś w stanie prowadzić swój zakład, dopóki zaś pieniądze leżą nie poruszone w skrzyni, są zupełnie nieużyteczne.

— Więc pieniądze nie stanowią bogactwa?

— Nie stanowią kochany Janie. Bogactwo jest to praca zaoszczędzona i nagromadzona, naprzykład: w żelazie, zbożu, skórach, sukni, obrazach, książkach, i innych rzeczach użytecznych, czyli krócej się wyrażając: *bogactwa są to wszelkie rzeczy użyteczne lub przyjemne, mające wartość handlową*. I dla tego to, im kto częściej obraca pieniędzmi, czyli puszcza je w ruch, ten też ma więcej zysku. Jeżeli mam sto dukatów, i zamknę je w skrzyni, to i po 20tu latach nic tam nie przybędzie, ale okażą się te same sto dukatów, więc czy je mam, czy nie mam przez całe lat 20, to wszystko jedno i dla mnie i dla drugich. Stąd wypada to, że jeżeli chcesz zostać bogatszym, nie staraj się o pieniądze, a staraj się o nagromadzenie towaru czyli przedmiotów potrzebnych do twego zakładu i pracowni. Jak masz skóry, to masz i buty, jak masz buty, to masz pieniądze. Gdyby każdy starał się o nagromadzenie pieniędzy, i trzymał je u siebie, to wkrótce i handel i wszystkie zakłady zupełnie upaśćby musiały, bo jak nikt kupować nie będzie, to także i nikt robić nie będzie.

— Teraz doskonale rozumiem, jaka jest różnica między pieniędzmi i bogactwem. Ale i to pojmuję dobrze, że nie tylko praca ręczna ma swoją wartość, lecz i praca umysłowa ma wartość daleko wyższą od ręcznej, gdyż jeżeli kupuję obraz, to nie tylko płacę za czas użyty na malowanie, bo powinienem zwrócić malarzowi wydatki, a choćby część wydatków wyłożonych na jego naukę, a oprócz tego muszę zapłacić i za osobliwość jego talentu, bo to osobliwość nieoceniona malować pięknie, nie każdy kto chce, potrafi malować pięknie, choćby też nie wiem jak pracował i starał się. Im talent jest rzadszy, niepospolity, wyjątkowy, tém i za obraz drożej zapłacić potrzeba.

— Tak mój Janie, nietylko obrazy, ale posągi, książki, i inne podobne rozumne i piękne dzieła, również przedstawiają pracę, ale że są rozumne, piękne, że trzeba się uczyć, wiele myśleć, mieć talent, a prócz tego użyć rąk, i odpowiednich narzędzi, aby wymalować obraz, wykuć posąg, lub książkę napisać,— więc dla tego powiada się, że ludzie co malują, piszą, lub nauczają, to oni podwójnie pra-

cują myślą i ciałem, — dwojaką też jest ich praca, i dla tego tem większy pożytek i bogactwo krajowi przynosi.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Różności.

Dobrze zrozumiane i sumiennie spełnione obowiązki obywatelskie.— Jak nie ten jest panem, kto się nim zowie, kto władny i posiada wiele, ale zgodnie z Kochanowskim:

Ten pan, zdaniem mojem,
Kto przestał na swojem,

tak również, aby być prawdziwym obywatelem, nie dosyć jest nazywać się nim, nie dosyć dziedziczyć wieś jednę lub więcej, i szczycić się zasługami przodków swoich,— lecz zaprawdę, ten to dzisiaj miano prawdziwego obywatela słusznie dopiero zyskuje, kto istotne potrzeby kraju dobrze rozumie, lub wyższem uczuciem kierowany odgaduje, — potrzeby te, jako potrzeby, i konieczne warunki bytu pojmuje, i takowe bądź co bądź, bez oglądania się na sobkostwo, uczciwie zaspakaja. Dzięki Bogu, że krzątanie się ludzi zacnych w tym kierunku wszędzie, w każdym zakątku ziemi naszej spotykać się daje coraz częściej. Dowody tak zrozumianego i spełnionego obywatelstwa złożyli krajowi i światu właściciele ziemscy na Podolu, w powiecie Bracławskim świeżo, jednomyślnie wydaną uchwałą w tak zwanej kwestyj włościańskiej. Uchwalono tam:

1) zaprosić niezwłocznie ludzi znających narzecze ludowe Podola, do przetłumaczenia *najwyżej zatwierdzonej ustawy*, i w każdym majątku dopomagać nowoutworzonym parafijalnym wiejskim szkółkom do rozpowszechnienia elementarnej oświaty,

2) dla przekonania włościan o szczerych życzeniach obywateli, ulepszenia ich bytu, w celu położenia zasad dla dobrych wzajemnych stosunków, wejść z niemi niezwłocznie w układy, o sprzedanie im siedzib, gruntów i łąk, przez nich dotąd zajmowanych: układy te polubownie załatwić, cztery części szacunku, które rząd ma wypłacać, przyjąć, i na tém poprzestać, a ostatniej piątej części tegoż szacunku, zrzec się na korzyść włościan.

Niepotrzeba tu żadnych objaśnień, tak wszystko jasne i zrozumiałe. Widoczne w tej uchwale najlepsze chęci właścicieli ziemskich względem swych włościan, a niekłamane, lecz szczere, śmiałe, i rozumne, poświęcenie się dla sprawy. Gdzie takie są cnoty obywatelskie, to naturalnie, że tam nie może być obawy, w brew przeszkodom nie zależnie od nas stawianym, spełnić to, co obywatelska powinność spełnić nam nakazuje.

— *Jak miło i pożytecznie zasłużyć sobie na zaufanie i przychylność swych sąsiadów.*— Nietylko na Podolu dobrze obowiązki rozumieją, i zaraz w czyn je wprowadzają. W Krakowskiem, niedaleko Kielc w dobrach *Szczeczno*, mieliśmy świeży, dotykalny dowód, jak włościanie umieją ocenić tych, którzy obowiązki swe względem nich dobrze zrozumieli, i bez oglądania się na późniéj takowe szczerze i chętnie spełnili. Ktoby dotąd niewiedział, niechże się dowie, jakim jest lud nasz, i jak jego serce przy pierwszej sposobności piękne i wzniosłe uczucie okazuje. Oto dowiadujemy się z Kuryjera Warszawskiego, że we wsi Szczeczno odbył się w tych dniach wyżynek: Hojnie ugoszczona gromada, pragnąc z własnego popędu serca zawdzięczyć dworowi tę zabawę, oświadczyła nazajutrz, że pragnie za te wyprawioną im ochotę, przysłużyć się gospodarską pomocą, a więc prosi, by dwór kazał w dniu następnym rozsiać więcej żyta, a oni je własnym sprzężajem zaorzą bezpłatnie, zapowiadając, iż sami dopilnują, by każdy gospodarz tę usługę odrobił. Dwór pragnąc odpowiedzieć poczciwemu oświadczeniu, przyjął z wdzięcznością ofiarę, aby ją znowu jakim dowodem serca przy okazyi, odwetować, i dziękując gospodarzom za ich usłużność, prosił o pomoc już nie w przyoraniu żyta, ale w wywiezieniu nawozu pod pszenicę. Nazajutrz gospodarze zeszli się od rana, i własnym sprzężajem na wyścigi dopełniali pracy, ubiegając się który więcej fur wywiezie, który lepiej dworowi się przysłuży.— Dnia następnego przybyli inni, to jest ci, którym domowe obowiązki wraz z pierwszymi wyjechać nie dozwoliły; zaś gospodarze oddalonych folwarków przybywają codziennie do tejże roboty, aby za innemi w uczuciu nie zostać, a wszyscy czynią tę usługę z taką szlachetną ochotą, tak poczciwie oświadczając, że się nie wymawiają więcej razy podobnie uczynić, takie się już w nich przebija własnej godności uczucie i tak dobre serce, że bez rozczulenia patrzeć na nich nie można.

— *Łukasz Mrówka* napisał książeczkę: *Podarek dla ludu naszego.* Są tam podania, powiastki, pieśni i bajki.

Prenumerata wynosi: w Warszawie rocznie rs. 1 kop. 80— półrocznie kop. 90 kwartalnie k. 45— miesięcznie k. 15. Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bez kopert rs. 2.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem prenumerata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności rs. 2 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po rs. 2 jak poprzednio, ale tylko po rs. rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 4 Października 1862 r.